

— 23 września będzie pan obchodził siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Mija zarazem 50 lat od pańskiego debiutu literackiego. Nadarza się znakomita okazja do refleksji i zadumy nad latami, które wprawdzie są już historią, ale pozostawiły trwałą ślad w pańskim dorobku pisarskim, pracy zawodowej i społecznej. Z opublikowanych niedawno przez pana trzech tomów wspomnień wynika, że dosyć wcześnie ukierunkował pan swoje zainteresowania. Uważam, że warto przypomnieć niektóre fakty sprzed ponad pięćdziesięciu lat, by zrozumieć pana wszechstronną działalność w latach późniejszych. Zatem, jakie znaczenie dla pana o wojennej działalności społecznej, politycznej, dziennikarskiej, literackiej miały lata trzydzieste spędzone w Poznaniu?

— Leonard Turkowski: To był jedyny okres, w którym czułem się literatem. Zresztą nie przypadkiem. Nie byłem dostatecznie przygotowany do życia, a dziennikarstwo i literatura, na szczęście, są dziedzinami, które można uprawiać bez dyplomu. Praktyka życiowa była moim najlepszym uniwersytetem życiowym, w takim znaczeniu, jakie znajdujemy w pismach Maksyma Gorkiego. U podstaw każdego pisania leżą silne przeżycia, wruszenia, potrzeba opowiedzenia światu o tym, co boli, cieszy, gniewa... Moja bieda i tragiczna sytuacja rodzinna wyzwały taką potrzebę. Dlatego bardzo wcześnie sięgnąłem po pióro.

— Warto przypomnieć ten dziariusz pana najwcześniejszych prób pisarskich chociażby dla przyszłego młodego pana twórczości, gdy przyjdzie mu opisać genezę debiutu Leonarda Turkowskiego.

— L.T.: Gdy miałem 15 lat ukazał się mój pierwszy wiersz w szkolnym piśmie. Rok później publikowałem w lokalnej gazecie felietony szkolne. W osiemnastym roku życia podjąłem pracę jako dziennikarz, w dziewiętnastym debiutowałem w poznańskim piśmie literackim. W roku 1935 ukazały się równocześnie dwie moje książki, m.in. tom poezji „Krzysztof na rozdwoju”. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Pisanie było w moim przypadku środkiem utrzymania. Z biegiem czasu stało się także sposobem bycia. Zwłaszcza, że twórczość moja brała się prosto z życia. Nie potrafię pisać o czymś, co jest obce mojej naturze, czego sam uprzednio nie przeżyłem. Już wtedy najpełniej ta prawidłowość przejawiała się w moich wierszach. Wystarczy wymienić np. takie utwory ze zbioru „Krzysztof na rozdwoju”, jak „Do żebraka”, „Pracować”, „Wykład”, ze zbioru „Krew ziemi” (wydanego w 1937 roku), jak „Głód”, „Przedmieście”, „De-presja”, „Papieros” i in. Chciałbym zwrócić uwagę na jedną charakterystyczną cechę środowiska, w którym się znajdowałem. Poznań był podówczas siedzibą prymasa, stolicą polskiego katolicyzmu. Obracałem się zatem w środowisku zgoła ultrakatolickim. Nie podlegałem jednak jego wpływowi. Twarde życie, które mnie nie oszczędzało, dyktując takie a nie inne warunki bycia, wypełniło mnie buntem przeciwko religii i zastanawianiu porządkowi społecznemu. Nie doszedłem wtedy do marksizmu, jeszcze na to było za wcześnie. Deklarację do PPR wypełniłem w 1947 roku.

— Jak z perspektywy minionych lat ocenia pan swoje przeżycia wojenne?

— L.T.: Wojna była koszmarem, ale nie pozostawiła szczególnego piętna na mojej osobowości, a to głównie dlatego, że była równocześnie czasem nadziei. Nie tylko na wyzwolenie, ale także, jak dla wszystkich, ale także, jak w moim przypadku, nadzieją na ostateczne

50-lecie twórczości

...właściwie przez całe życie mam 17 lat...

WARMIA I MAZURY

NK 18 (425) 16-30 IX 1984

Wywiad

z Leonardem Turkowskim



przekreślenie przedwojennego braku perspektyw. Polska Ludowa dała mi szansę odrodzenia się i rozwoju zarazem. I to od pierwszej chwili. Spełniła wojenne nadzieje.

— W czym to się przejawiało?

— L.T.: Jeszcze przed końcem wojny zostałem nauczycielem i mogłem się równocześnie dokształcać, co było zawsze moim marzeniem. Uczyłem innych, sam się ucząc. Już w czasie wojny zajmowałem się tajnym nauczaniem. Teraz było koniecznością ten wojenny życiowy uniwersytet uzupełnić. Zresztą trwało to bardzo długo. Dopiero w trzydziestym dziewiątym roku życia zakończyłem formalnie swoje edukację, wymagane w pracy zawodowej. Ale prawdę mówiąc, bez przerwy, przez całe życie, nie innego nie robię, tylko się uczę. I właściwie przez całe życie mam 17 lat, tych siedemdziesiąt — to wcale nieprawda. Bo w rzeczy samej zawsze tak sterowałem swoimi poczynaniami, by sprowadzać je do zabawy i nauki. Pan wie, że o rozwoju jednostki decydują trzy rodzaje działalności: zabawa, nauka, praca...

— Wygląda na to, że nie doszedł pan do etapu pracy?

— L.T.: Jak przystało na siedemnastolatka, wciąż bawię się i uczę. Nie miałbym się żadnej pracy, która nie sprawiałaby mi satysfakcji. Bywa to najczęściej zabawa w znaczeniu przegrody. Taką przygodą była i praca nauczycielska, i dziennikarstwo, i jest nią praca literacka. Może dlatego tak łatwo przechodzę od zawodu do zawodu, bo w istocie jest to przechodzenie od przygody do przygody. Przygodą jest także każda moja książka. Przy okazji jubileuszu mogę zdobyć się na szczerą i powiedzieć, że właściwie dlatego nie czuję się literatem. Po prostu nie jest to moja praca zawodowa. Sięgam po pióro wyłącznie z zewnętrznej potrzeby. Już był taki okres w moim życiu, kiedy odszedłem od literatury pięknej na dwadzieścia lat.

— I to mówi były prezes olsztyńskiego Oddziału ZLP?

— L.T.: Prezesem sam się nie mianowałem, tylko wybrałi mnie koleżdy. Mogę powiedzieć dlaczego. Chociaż uprawiałem wiele zawodów (pracowałem przecież jeszcze jako bibliotekarz, księgowy, biurolista, pracownik fizyczny) to przez całe życie byłem przede

wszystkim nauczycielem, ale nauczycielem z zacięciem społecznym. W końcu to właśnie wykorzystano w ZLP.

— Wrómy jeszcze na chwilę do lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czyli okresu pana bogatych doświadczeń pedagogicznych, ale także społecznych. Czy miały one jakiś wpływ na pana dorobek prozatorski?

— L.T.: Decydujący, podobnie jak doświadczenia całego mojego życia przeniesione na karty powieści i tomów wspomnień. Cokolwiek napisałem, znajduje uwierzytelnienie w konkretnych okolicznościach, odnosi się do autentycznych ludzi. Już o tym wspominałem. Teraz jeszcze dodam, że czuję się zawsze autentystą. Proszę zwrócić uwagę na to, że w tej prozie (np. w „Kajak”, „Lipcowym miodzie” czy w opowiadaniach „Do szkoły”) bohaterami są młodzi ludzie, a akcja utworów dzieje się często w szkole.

— A czy nie uważa pan, że jest to temat stosunkowo mało atrakcyjny dla współczesnej literatury?

— L.T.: Ja niczego nie uważam. Piszę to, co mi leży na sercu. O sprawach, które znam i które są mi bliskie. Dlatego też jednym z wiodących wątków mojej prozy i poezji jest ziemia, z której jem chleb, albo ziemia rodzinna po prostu. Proszę zajrzeć do powieści „Ziemia i niebo”, „Na początku było jezioro”, także do trzech tomów wspomnień.

— A która część własnej twórczości jest panu najbliższa?

— L.T.: Nie podoba mi się żadna moja książka. Człowiek chwytł za pióro, jakby miał odkrywać największe prawdy, a po postawieniu ostatniej kropki zaczyna nabierać przekonania, że znów zawiódł się na sobie, że się przeliczył, że nie zrobił tego co chciał. Dlatego przerabiam mocno swoje teksty. Ale też ostateczną klęskę jest książka wydrukowana, w której nie można już nic zmienić. Owa skłonność do przerabiania tekstów powstała także z konkretnych warunków życiowych. Z konieczności zawsze pisałem szybko, bo nigdy nie miałem czasu na pisanie. Do emerytury zawsze harowałem, ale poza literaturą. Gdybym w ostateczności musiał się zdecydować na wyróżnienie którejś z moich książek, byłyby to niewątpliwie publikacje wspomnieniowe, dzięki którym wróciłem do

tego wszystkiego, co uczyniło moje życie ciekawym.

— Wspomniał pan o tradycjach pisarskich autentystów, na które się pan chętnie powołuje. Z czego to wynika?

— L.T.: Stanisław Czernik żył i działał w Wielkopolsce, tam ogłaszał swoje idee w czasie, kiedy ja zaczynałem pisać. Zarówno jego poetyka, jak praktyka literacka były mi szczególnie bliskie. Moje pisanie zawsze było żywiołowe, nieuczesane, słabo podbudowane kulturą literacką, oparte na własnych przeżyciach i obserwacjach, określone moją sytuacją życiową, czyli po prostu autentyczne. Z Czernikiem utrzymywałem kontakty, drukował moje wiersze i krytycznie o nich pisał. Mój stosunek do tego czolowego autentysty, mimo że do dziś wręcz uwielbiam go jako poetę, zmienił się w latach następnych, w miarę ewolucji jakiej doznawała jego teoria autentyzmu. Pod wpływem krytyki Czernik cofał się. A polegało to na tym, że na koniec uznał, jakoby wszystko w literaturze było autentyzmem. Pozostał autentystą w praktyce pisarskiej.

— A pan w latach siedemdziesiątych pozostał wierny klasycznym założeniom autentystów w takiej postaci, jaką przed laty opisano na łamach „Okolic połów”. Jednocześnie był to okres, jak mi się wydaje, ważny dla pana jako pisarza i społecznika zarazem. Czy ta aktywność miała konkretne przyczyny?

— L.T.: Od roku 1969 byłem na swoistej synekurze nauczycielskiej jako dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej. Po czterech latach poszedłem na emeryturę. Skończyła się harówka zawodowa. Przyszła pora na korzystanie z dostatku czasu. Niestety, dziewięćdziesiątka prezesa w Oddziale ZLP, zbyt wiele wolnego czasu mi nie pozostawiała.

— Powołał pan, że uzupełnię nieco tę wypowiedź. Uważam, że lata pana prezesa były ważnym i ciekawym okresem w dziejach miejscowego oddziału. Pamiętam, będąc podówczas członkiem Koła Młodych, ogólnopolskie imprezy literackie organizowane w Olsztynie, plenery, na których spotykali się pisarze i nauczyciele, czwartki literackie, itd. Przyszły kronikarz miejscowego środowiska humanistycznego musi nazwać ten okres interesującym i inspirującym dla kilku pokoleń pisarzy...

— L.T.: Zatem ocenę ten okres następująco. Staralem się jako prezes Oddziału ZLP nie zaprzepaścić niczego z długoletniej prezesury Władysława Gębika. Realizowaliśmy i kontynuowaliśmy w tym okresie inicjatywy i pomysły mojego poprzednika. Ale za największy sukces tamtych lat uważam dążenie do przekształcenia oddziału z instytucji regionalnego wspominkarstwa w placówkę kulturalną możliwie prężną, która byłaby świadectwem naszych dokonań i możliwości także na forum ogólnopolskim. Ale czy tak rzeczywiście było, niech osądzą inni, może już z większej perspektywy czasu.

— Jakie pana książki o rzy-
ma czytelnik w najbliższych miesiącach?

— L.T.: „Pojezierze” ma wydać w najbliższym czasie zbiór moich opowiadań pod tytułem „Narodziny generała”. W tej samej oficynie, do końca roku, zgodnie z umową, mam złożyć powieść biograficzną o Wojciechu Kętrzyńskim, podobną do tej, jaką w 1971 roku wydałem o Mikołaju Koperniku. Bardziej niż kiedykolwiek jestem podzielony między tę ziemię, z której jem chleb, a tę, która jest moją ziemią rodzinną. Mówię to nie bez kozery. Proszę spojrzeć na moje dalsze plany. W Ludowej Spółdzielni Wydawniczej ukazuje się w przyszłym roku moja książka prozatorska zatytułowana „Droga do Sestos”, traktująca o walkach wywoleńców Polaków w Wielkopolsce w wieku XIX. W obecnym okresie Wielkopolska i Poznań interesują mnie w równym stopniu co przeszłość i teraźniejszość Warmii i Mazur. Dlatego wkrótce podejmę się napisania romansu dziewiętnastowiecznego z życia historycznych postaci: Emilii Szanielskiej i Karola Marcinkowskiego. Coś w rodzaju „Trędowatej”, ale usytuowanej w autentycznej scenarii XIX-wiecznej Wielkopolski. Ponadto mam na warsztacie powieść, być może polityczną, z lat 1980—1982.

— Życzę powodzenia w realizacji tych i następnych książek. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Andrzej STANISZEWSKI

WIM 5